

Ambroży Gzężółka [29], student rzeszowskiej polonistyki, postanowił wybrać się w podróż do Krakowa. Uznał, że musi odpocząć, że wyjeżdża i że nie wróci przed upływem tygodnia [374]. Wahał się pomiędzy dwoma terminami: (lub pauza) andrzejkami [106] i mikołajkami [106], ostatecznie wybierając andrzejki [106]. Udając się truchtem do McDonald'sa (s. 407), na lekko strawny [134- dopuszczalne: lekkostrawny] obiad (sałatka i latte macchiato) [uznaje się jako poprawne realizacje: obustronna pauza oraz dwukropek otwierający i przecinek zamykający], rozważał filozoficznie: „pojadę [Pojadę] bądź koleją, bądź autobusem [373]”. Jako ubogi żak zapolował na ofertę last minute, korzystając z ultraszybkiego [148] łącza internetowego swojego współlokatora i raz-dwa [189] został niby-pasażerem [188] kolei. Dwa dni później, jadąc dwudziestkąpiątką [132], zaczytał się w najnowszym numerze „Uważam Rze”. I, ni stąd, ni zowąd, zauważył, że jest prawie spóźniony na pociąg. Wbiegł na dworzec i zastał imponujący widok. Przeszło roczny remont tej cud-maszyny [187] spowodował, że Ambroży poczuł się super-Europejczykiem [70]. „Chapeau bas! [s. 91]”- pomyślał i udał się na sam przód pociągu [144]. Zachwycony Joyce'em, [245] wzgardził dostojewszczyzną [104], lecz prędko się znużył i zasnął. Pół spał, pół czuwał [139], gdy z objęć Morfeusza wyrwał go mniej więcej trzydziestosiedmioipółletni [136] konduktor. Ćwierćinteligent [142] beznamiętnie oznajmił: „podróźni [Podróźni] jadący tym pociągiem są obowiązani mieć miejscówki” [383]. Ponieważ miejscówki nie wykupił, musiał zapłacić horrendalną karę. Półzartując [138], wręczył mu w ramach łapówki przyprószone kurzem książki Chateaubrianda [s. 91] i Rousseau [s. 695] [dopuszczalne: Russo], co nie wzbudziło aplauzu wśród współpasażerów. Ostatecznie, wyłożył pieniądze i postanowił, że nie warto, doprawdy, zajmować się więcej tą sprawą [387]. Na roszczenie PKP stracił ćwierć stypendium [142], przez co pojawiła się wizja spania w tanim petetekowskim [dopuszczalne: PTTK-owskim] [s. 563] hotelu [383]. Po półgodzinie [138] od tego incydentu, minął Kraków-Płaszów [184]. Nim zdążył zgłodnieć i naszała go ochota na małe co nieco, dotarł już w okolice kościoła Mariackiego, w którym jako dziecko na Wielkanoc podziwiał Grób Pański [130]. Po zwiedzaniu wstąpił do nowo otwartej [134] restauracji, gdzie spożył de volaille'a [dopuszczalna: dewolaja s. 133]. Posilony, zadzwonił do narzeczonej, ale w rozmowie przeszkodziła mu głośno mówiąca [134] baba-jaga [189], która, dzierżąc nibykwiat [188] dziko rosnącej [134] róży, usiłowała zdobyć parę groszy na półlitrowkę [138]. Naprawdę, marzył już o końcu tego dnia. Przypomniawszy sobie, że na pewno nie odwiedził kopca Kościuszki [82], kościoła Na Skałce [82] i cmentarza Rakowickiego [82], gdzie rach-ciach [189] wyruszył.

W kwadratowych nawiasach podane są numery zasad lub strony (wówczas wyraźna kwantyfikacja s.) z *Wielkiego słownika ortograficznego PWN*, pod red. E. Polańskiego, Warszawa 2008